

siebie). W rodzinie babci od 3 pokoleń mówiło się po polsku, w rodzinie dziadka - po niemiecku, stąd mama była dwujęzyczna i nas - dzieci też uczyła niemieckiego. Mimo tego mieszanego pochodzenia cała moja rodzina uważała się za patriotów polskich.

Ojciec w młodości był w SDKPiL, później zmienił poglądy, zapisał się do PPS-u, potem do KPP. Cały czas był patriotą polskim i dlatego w 1937 r. został zawieszony w prawach członka w KPP. Pamiętam wizytę Jakuba Bermana u nas w domu (pamiętam dlatego, że u jego żony - dentystki leczyłem zęby), który wówczas chodził po domach bardziej wybitnych członków KPP (a ojciec był wówczas jednym z czołowych polskich marksistów) i prosił o podpisanie-akceptację pisma, w którym podano, że dany członek partii uznaje za słuszne procesy wytoczone kierownictwu KPP w Moskwie oraz wyroki, które zapadły w tych procesach. Ojciec zdecydowanie tego nie podpisał i wtedy został zawieszony w prawach członka partii, co miało później bardzo przykre dla niego konsekwencje.

Poglądy ojca wpływały bardzo silnie na moje wychowanie. Był on marksistą nieortodoksyjnym, tzn. miał swoje własne spojrzenie na Marksa. I nic dziwnego, bo studiował u Wilhelma Wudta - założyciela współczesnej psychologii [niemiecki fizjolog, psycholog i filozof, 1832-1920, prof. w Heidelbergu i Lipsku; badania z psychofizyki i psychofizjologii - psychologia empiryczna, etnopsychologia - psychologia języka]. Ojciec studiował też w konserwatorium w Rydze, w klasie fortepianu. Studiował też filozofię i pracował później jako filozof. Miał zastrzeżenia co do poglądów psychologicznych Marksa.

W wieku 14 lat przeczytałem „Kapitał” Marksa. Ile z tego zrozumiałem, to do tej pory nie wiem. Przeczytałem też „Manifest Komunistyczny”, który zrozumiałem oczywiście, przeczytałem „O pochodzeniu rodziny i własności prywatnej” Engelsa - też zrozumiałem, bo jest to bardzo prosta książka,

przeczytałem parę prac Lenina po polsku (w Polsce międzywojennej było wbrew pozorom sporo tych druków po polsku). Oprócz tego czytałem różne opracowania filozoficzne i religijne, m.in. fragmenty „Wed”, opracowanie o buddyzmie. Ale interesowały mnie zwłaszcza prace o strukturze mózgu ludzkiego i miałem zamiar (aż do 1947 r.) studiować medycynę i zająć się badaniem ludzkiego mózgu.

O ojcu wyszły dwie czy trzy prace w Polsce (pana Dziamskiego-historykowi z Poznania), jedna w Rosji. Książki opracowane przez prof. Dziamskiego ukazały się bez udziału mojego i mojej siostry - odmówiliśmy mu pomocy. On pisał o ojcu jako o ateście, a ojciec nie był ateistą. Napisał tylko jeden artykuł w duchu ateistycznym w „Czerwonym Sztandarze” we Lwowie, ale był wtedy pod groźbą wywózki, a nawet śmierci swojej i swojej rodziny. Miał sobie to za złe. Ojciec był panteistą. Nad jego biurkiem wisiał portret Spinozy. Był patriotą polskim - mnie i moją siostrę wychował też na polskich patriotów, to znaczy ludzi, którzy byli gotowi oddać życie za ten kraj, czego zresztą dowiodłem (w bitwie pod Monte Cassino byłem ranny, szedłem z piechotą do pierwszego ataku itp.). Siostra - Lucylla Pszczołowska jest sławistką, byłym pracownikiem IBL-u.

W związku ze swymi poglądami, wykształceniem filozoficznym i przemyśleniami - ojciec bardzo szanował religię, choć nie był człowiekiem religijnym. Twierdził, że Kościół ma bardzo wiele wad, lecz zalet ma więcej i że bez Kościoła ludzie by nie przeżyli do tej pory. Wg ojca, każda wielka kultura była związana z religią; nie ma żadnej wielkiej kultury nie związanej z religią. A jeśli jest związana z taką pseudoreligią, jaką był komunizm, to jest to również pseudo-kultura. O tym ojciec nie mówił - to już jest moja refleksja.

Przed wojną ojciec otrzymał stypendium we Francji. Wiadomo już było, że wojna wybuchnie, mógł tam zostać, ale wrócił do rodziny - do Warszawy. Po wybuchu wojny wyszedł z Warszawy i znalazł się w majątku wuja -

Stanisława Kocha - w Sitnie koło Zamościa. Sitno zostało zajęte przez wojska sowieckie po 17 września. Ojciec dołączył do tych oddziałów, jak się zaczęły wycofywać na wschód. W czasie wycofywania się wojska dowódcy tych oddziałów polecieli chłopom, by z nimi razem poszli i zabrali podwodami zboże w workach. Chłopi usłuchali, zawieźli to zboże - należące do majątku mego wuja, a w nocy zawrócili i przyjechali z powrotem do majątku. Wuj był bardzo przyzwoitym człowiekiem, chłopom go lubili. Później był aresztowany i katowany przez NKWD, matka chodziła do Bieruta i Bermana, żeby go uwolnić. Z rodziny matki nikt nie został volksdeutchem, a miała 5 braci, których namawiano, podobnie jak matkę.

Ojciec wycofał się z tymi oddziałami sowieckimi, pojechał do Lwowa i tam zgłosił się do pracy - jako członek KPP, marksista, już autor wielu prac. Zamieszkał u swego przyjaciela prof. Koraniego i został lektorem języka rosyjskiego (znał 10 języków nowożytnych, łacinę, grekę), bo nie miano do niego zupełnie zaufania, a wiele zastrzeżeń.

Mnie jeszcze wtedy nie było we Lwowie, przebywałem z matką i siostrą w Warszawie. Pracowałem na budowie jako koźlarz, potem szklarz - musiałem utrzymać rodzinę. Pojechałem do Lwowa - przekraczając granicę z moimi kumplami-przemytnikami. Mieszkaliśmy na Powiślu, gdzie pełno było takich łobuziaków. W tamtejszej szkole uczyła moja matka; była świetną nauczycielką, ubóstwianą przez tych chłopaków, właściwie bandytów. Ona miała prawdziwy talent pedagogiczny. W dzień urodzin ci uczniowie zawsze przynosili jej kosz kwiatów. I ja mogłem między nimi swobodnie chodzić. Matka ukończyła kursy Miłkowskiego - półwyższe kursy nauczania przyrody (biologii), i tego nauczwała.

Ja byłem drużynowym w czerwonym harcerstwie na Marymoncie i należałem do Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. Wiek zwłaszcza po wybuchu wojny grunt zaczął mi się palić pod nogami - musiałem wyjechać z Warszawy. Było to w grudniu 1939r.

W drodze do Lwowa, ja z tymi moimi przemytnikami przekroczyliśmy granicę w Małkini i po różnych perypetiach dotarłem do ojca i zamieszkałem z nim u prof. Koraniego. I wtedy się dowiedziałem, że ojciec, chyba w końcu 1939r. lub na początku 1940r., pojechał do Moskwy. Był tam 10 dni i chyba wisiało nad nim aresztowanie. W jaki sposób on to odkręcił - tego nigdy nie mówił. Na żadną współpracę z NKWD nigdy się nie zgodził - o tym wiem napewno. Musiał coś im powiedzieć, może coś podpisać... krzywdy jednak nikomu nie zrobił. Ale z Moskwy wrócił już jako członek partii - WKP(b). Wkrótce po tym ojciec zaczął wykładać historię filozofii. Na tyle czuł się „mocny” (nie obawiał się represji), że odmówił wykładania po ukraińsku, na co niewielu profesorów mogło się zdobyć - tak jak Boy-Żeleński, Juliusz Kleiner (u którego studiowałem). Inni musieli nauczyć się i wykładać po ukraińsku.

W drugim kwartale 1940 r. aresztowano wielu ludzi - Polaków różnego pochodzenia. Ojciec wtedy godzinami wysiadywał u Wandy Wasilewskiej i prosił o zwolnienie tych ludzi, bo ona miała głos decydujący i miała bardzo duże wpływy. Czasem mu się to udawało, czasem - nie, gdyż nie zgadzała się na czyjeś zwolnienie. Jej zgoda na ogół skutkowałą - i dany człowiek zostawał zwolniony. Wasilewska miała olbrzymi wpływ na innych ludzi. Znałem ją jeszcze sprzed wojny, słyszałem przemawiającą na wiecach - i sam to odczuwałem. Był to rodzaj chzaryzmy - „minusowej”, ale miała ją. I tym tłumaczyłbym jej wielkie wpływy.

Wracając do mego ojca: ojciec, którego zobaczyłem we Lwowie, był innym człowiekiem, niż ten, którego znałem w Warszawie. Stał się ponury, zamknięty w sobie, smutny, nie żartował, nie śmiał się... czasem w kawiarni, przy rozmowach z Boyem-Żeleńskim jeszcze wydobywał z siebie humor, ale cały czas czuło się, że coś go gryzie. Zapewne zobaczył rzeczywistość tego ustroju i coś w nim pękło.

IB

Ojciec był załamany. Wyglądał, jakby funkcjonował siłą inercji... Nie interesowały go moje sprawy, jak się uczę, co robię, jaki jestem... W Warszawie żartował często, po dziś dzień pamiętam jego świetne dowcipy, a we Lwowie - żadnego. Potem się dowiedziałem dlaczego.

Kiedy uruchomili na krótko przejście graniczne przez most nad Bugiem w 1940r. ojciec zdecydował się sprowadzić do Lwowa matkę z siostrą. Ojciec wynajął mieszkanie 3-pokojowe i tam mieszkaliśmy. Siostra chodziła do liceum, mama pracowała w bibliotece.

Któregoś dnia mama mi powiedziała, że jako członek partii ojciec otrzymał propozycję nie do odrzucenia - żeby donosić na NKWD, bo każdy członek partii był obowiązany donosić na swoich towarzyszy. A ojciec ani razu nie doniósł. Mówił, że nie ma czego donosić na nikogo. Ale był pod stałą presją, że jego zamkną, że na niego doniosą. Wtedy zobaczył, że ten ustrój nie jest tym ustrojem, o który walczył - tym tłumaczę jego stałe przygnębienie. W rozmowach, spotkaniach zmuszał się do tego, by być tym dawnym profesorem Rudniańskim. Ale jak zostawał sam, w domu - stawał się innym człowiekiem. Ale tych najważniejszych wad - które człowieka pozbawiają czci, honoru, uczciwości - ojciec nie miał. I cały czas był Polakiem.

Rudniański - to był jego pseudonim literacki i uciekł z Warszawy pod tym pseudonimem, czyli pod nazwiskiem jego matki. A ja, matka i siostra nosiliśmy nazwisko mego dziadka ze strony ojca - Rudenrud.

Ojciec wiedział, że wstąpiłem do Komsomołu, za namową Janka Krasickiego, który był jednym z moich przyjaciół we Lwowie. Ojciec nie powiedział wtedy nic... Dopiero później zdałem sobie sprawę co się działo; wtedy byłem na wpół przytomny. Wierzyłem w Boga od początku mego świadomego istnienia i będąc w Komsomole nie przestawałem wierzyć w Boga. Byłem przekonany (taka ekwilibrystyka myślowa jest możliwa chyba tylko u człowieka w wieku lat dwudziestu), że po osiągnięciu komunizmu na całym

świecie i zapanowaniu ustroju sprawiedliwości społecznej - wszyscy ludzie uwierzą w Boga. Byłem o tym przekonany. Jak mnie przyjmowano do Komsomołu, to Janek Krasicki zadbał o to, żeby komisja nie pytała mnie, czy jestem wierzący, bo przecież powiedziałbym, że tak. To była rzecz, która mnie tam trzymała. Odczuwałem, że to nie jest tak, ja sobie przedtem wyobrażałem, zaczynało coś nie grać. Stawiałem sobie plusy i minusy tej rzeczywistości. Kiedyś zapytałem jednego z kolegów z Komsomołu, dlaczego wy tak czcicie tego Stalina, przecież to jest kult jednostki i nie ma nic wspólnego z ideą komunizmu. On mi odpowiedział „eto simbol”. I ja tę odpowiedź uznałem za mniej więcej zadowolającą.

Wiedziałem o wywózkach. Nawet agitowałem w wyborach, ale potem już uchyliłem się od tej agitacji; byłem instruktorem Gor-Komu, więc mogłem to zrobić. Zająłem się czymś innym. Nie szkodziłem napewno ludziom. Może parę razy zaszkodziłem tym, którzy bardzo szkodzili Polakom - czyli nacjonalistom ukraińskim. Ale nie do tego stopnia, by ponieśli śmierć. Później zresztą ten fakt uratował mi życie.

We Lwowie nie starałem się na medycynę, bo wiadomo było, że krótka jest przerwa między wojnami i że Stalin przygotowuje się do uderzenia na Niemcy hitlerowskie. Lud myślący - ten „na dole” - więcej wiedział co się szykuje, bo to było widać. Przecież dlaczego Stalin był taki wściekły po uderzeniu Niemców? Wszystko było przygotowane - i buty i mundury - do przetrzucenia na zachód i Hitler go wyprzedził o dwa tygodnie - wg niektórych historyków. U nas było wiadome, że ten pokój jest tylko po to, by zyskać na czasie.

Ojciec wyjechał ze Lwowa - na rozkaz partii. Było to na dwa dni przed zajęciem miasta przez Niemców. Pamiętam, że namawiał do wyjazdu Boya-Żeleńskiego, Leona Chwistka, Koraniego - nie chcieli. Gdzie ojciec wyjechał

- nie wiem. Ja uciekłem z Jankiem Krasickim na motorze, kiedy Niemcy już wchodzili do Lwowa. Pojechałem szukać ojca do Rosji.

Przerwa (IB 283)

Mój ojciec był człowiekiem bardzo odważnym, ale jednocześnie bardzo niezaradnym i dlatego pojechałem szukać go, aby mu w razie czego pomóc.

W pierwszych tygodniach pobytów Eosji spotkałem Ukraińca z Komunistycznej Partii Ukrainy (towarzysz Stanik?), który powiedział mi, że prawdopodobnie mój ojciec zginął pod Złoczowem - nie wiadomo, czy od bomby niemieckiej, czy z rąk Ukraińców. Później spotkałem już w Warszawie pana Bardacha (chyba Janusza, nie Juliana), który potwierdził ten fakt i że ojciec zginął na pewno, a także osobę, która prowadziła ojca rannego pod rękę. mimo tych wiadomości szukałem ojca dalej, bo nic nie było pewne. Byłem nie tylko na Ukrainie, ale także w Leningradzie, Kujbyszewie, Semipałatyńsku, Taszkencie itd. Przemierzałem olbrzymie odległości pociągami jeżdżąc na gapę; a działo się to w czasie wojny! Ja byłem bardzo odporny, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Czasami wydawało mi się, że żyję dzięki „urkom”, którzy mnie przyjęli do swego towarzystwa i razem kradliśmy barany Uzbekom - inaczej bym nie przeżył.

Szukałem ojca na uniwersytetach; niektórzy profesorowie dawali mi pieniądze na dalszą drogę. Tych pieniędzy nie było dużo, bo nie byli to ludzie zamożni, ale mogłem jakoś przeżyć. Po drodze mnie zatrzymywali jako „szpiona”, ale jakoś puszczali. Ojca jednak nie znalazłem. Ojciec był w Polsce bardzo szanowany - przez swoich ideologicznych przeciwników również. W 1936r., gdy ojciec był na zjeździe filozofów w Krakowie, to w 1936 r. chcieli go zaaresztować - nie podobał się jego referat. I doktor Moldorf, który był

dobrym filozofem i endekiem, wyprowadził ojca z sali posiedzeń tylnymi drzwiami. Potem Moldorf jakoś sprawę załatwił i zrezygnowali z aresztowania.

Moja wędrówka w poszukiwaniu ojca trwała przez lipiec, sierpień, wrzesień 1941 r.

Ojca nie znalazłem. Obecnie wiem tyle: na podstawie wymienionych wyżej spotkań i informacji wiadomo, że ojciec był ranny i potem zginął prawdopodobnie z rąk nacjonalistów ukraińskich (a nie - Ukraińców, to jest olbrzymia różnica, którą podkreślam). Jego symboliczny grób jest tam, gdzie leży mama - na cmentarzu ewangelicko-augsburskim w Warszawie, w grobie rodzinnym mojej matki. Na tablicy jest napis: Profesor Stefan Rudniański uczony, działacz, bojownik; zginął w czerwcu 1941 r. - To jest dokładnie to, co moja mama, siostra i ja wiedzieliśmy o naszym ojcu.

Według mojej siostry interwencje mego ojca u Wandy Wasilewskiej nie odnosiły żadnego skutku; trzymała go godzinami w przedpokoju....

Wracając do moich losów:

jeżdżąc tak po całej Rosji i szukając ojca - w sercu miałem rozpacz. Zobaczyłem to wszystko, co w tym kraju się działo. Byłem nauczony trzeźwego i niezależnego myślenia; nie byłem nauczony lęku. Nie byłem nauczony tego, że „partia jest wszystkim” i że idea jest wszystkim. Byłem nauczony, że człowiek żyje po to, aby na świecie zrobić jak najwięcej dobra, życie człowieka służy innym ludziom i światu. Podobnie jak byłem wwychowany w ideale Mężczyzny: mężczyzna nie płacze, nie mówi o seksie, nie narazi na szwank honoru kobiety, z którą był kiedykolwiek związany, nie boi się, i pomaga słabszym. Nie było jednak tego, że mężczyzna jest wierny żonie!

Tam, w Rosji, we mnie to wszystko się załamało i omal nie popełniłem samobójstwa. Ale miałem na tyle instynktu życia, że z rozpaczą w sercu dalej szukałem ojca. I dlatego przebywałem z urkami, mordercami itd., bo mnie było wszystko jedno! Nie bałem się ich, a oni to czuli, tak jak psy wyczuwali, kto się

ich boi. Miałem z nimi bardzo dobry kontakt, bo jeszcze w Warszawie na Powiślu poznałem taki element i miałem kilku przyjaciół-nożowników. To mi w Rosji bardzo pomogło. Kilka tygodni z nimi jeździłem.

Do Armii Czerwonej jakoś mnie nie złapali, bo cały czas jeździłem i to w takim towarzystwie. wyskoczyłem z bombardowanego pociągu i miałem przy sobie plan drogi do Kijowa. Chodziłem wtedy w pumpach i nosiłem okulary. Zarzucili mi, że jestem „szpionem”. Postawili pod drzewem przed plutonem, trzymali mnie tak ponad pół godziny, ale puścili, bo wytłumaczyłem, że jestem obywatel radziecki, członek Komsomołu i zażądałem, żeby moją sprawę przedstawił dowódca jednostki. Zostawili ten pluton przede mną i oficer poszedł do dowódcy. Jak wrócił - oddał mi dokumenty i puścił wolno. Ja byłem spokojny, tylko cały mokry. Później już nie chodziłem w pumpach, zdjąłem okulary, żeby nie zwracać uwagi i więcej mnie nie złapali.

Taśma II

Chcę powiedzieć o drobnym szczególe o znaczeniu historycznym. W Taszkencie spotkałem jednego z moich przyjaciół lwowskich - Staszka Kurlanda, bardzo przyzwoitego człowieka, robotnika, który potem zginął jako podpułkownik Armii Ludowej na Starym Mieście w Powstaniu Warszawskim. Ja mu nie mówiłem o zmianie moich poglądów, o mojej rozpacz, przekonaniu, że była to olbrzymia pomyłka i żalu, że ojciec poświęcił temu tyle lat swego życia i był współuczestnikiem tego zbrodniczego systemu. Staszek Kurland powiedział mi, że Janek Krasicki napisał list do Stalina, list ten o dziwo doszedł i mieliśmy we trzech zostać zrzućeni (chyba przez GRU?) w Warszawie jako „cichociemni”. Ja byłem tą wiadomością przerażony. Nic nie powiedziałem Staszce, bo wiedziałem, że on nie zmienił poglądów, a Janek był fanatykiem. Mieliśmy walczyć z Niemcami. Janek nocował u mamy, w 1943r. Niemcy go

chwycili na Żoliborzu, prawdopodobnie ktoś go wydał, i zaczął uciekać, żeby zginąć; to jest oczywiste. Obaj - Janek i Staszek byli jednak przyzwoitymi ludźmi i nikogo z Polaków nie skrzywdzili.

A ja nie wyjechałem - jakoś się wymigałem. Nie wiem na ile to była „ucieczka w chorobę” bo byłem przerażony perspektywą tego ‘zrzucenia’ w Warszawie i walki razem z komunistami, ale rozchorowałem się rzeczywiście.

Wtedy już słyszałem o tworzeniu się armii polskiej i chciałem do niej wstąpić. Udałem się do wojska polskiego w Tatiszczewie, oddałem tam mój sowiecki paszport, zostawiając w kieszeni legitymację komsomolską i studencką w kieszeni. Przed wieczorem przyszedł do mnie kumpel ze Lwowa, który znał moje przekonania i działalność, ale wiedział, że nikomu nie zrobiłem krzywdy. On pracował w sztabie, przyniósł mi mój paszport i powiedział, żebym uciekał, jak tylko się ściemni, bo „chcą cię przed świtem rozstrzelać, bo wiedzą kim ty byłeś i myślą, że jesteś agentem”. Przekonywałem go, że zmieniłem całkowicie swoje poglądy, on mi uwierzył („to widać po tobie; ty byłeś zawsze fajny”), ale oni ci nie uwierzą. I w nocy uciekłem z tego obozu wojskowego (otoczonego drutem kolczastym) przy pomocy tego kolegi. Policja (granatowa) za mną strzelała, ale nie celnie... I już wiedziałem, że w tym wojsku czeka mnie śmierć. Te dwa fakty (spotkanie z Kurlandem i widmo śmierci w wojsku polskim) spowodowały taki stress, że się poważnie rozchorowałem. Miałem zapalenie płuc, chlebowstręt, żółtaczkę. Po tygodniu w szpitalu w Kokandzie (na południe od Samarkandy) odstawili mnie, zasłonili parawanem - na umarcie.

Nie umarłem, bo sobie powtarzałem, że muszę żyć, modliłem się... i po trzech dniach, ku wielkiemu zdumieniu lekarzy - polepszyło mi się. Kilka dni jeszcze byłem w szpitalu, podkarmili mnie, ludzie miejscowi pomogli i poszedłem 30 km do najbliższego kołchozu, gdzie mogłem się zatrzymać.

W tym kolchozie dawali 350 g chleba razowego, wodnistego i miseczkę ryżu na zimno. Ja na szczęście znalazłem piwnicę z cebulą - i to mi uratowało życie, bo cynę już miałem po tej wędrówce po Rosji. Ale za to miałem pewność, że mnie tam już nikt nie znajdzie - żaden Stalin, ani wojsko polskie.

Rosjanie to jest fantastycznie inteligentny naród. Oni zrobili obóz-pułapkę. O czymś takim jeszcze nie słyszałem. W kolchozie zaczęto mówić, że niedaleko jest kopalnia, gdzie się dobrze żyje, dają dobrze jeść - 750 g chleba dziennie i dwa razy dziennie zupę - więc fantastyczne życie!

Było to pod koniec wrzesnia, może na początku października 1941 r. Okazało się, że oni rozpuszczali takie wiadomości i ludzie szli do tej kopalni. Tylko mnie powiedział jeden pracownik z zarządu kolchozu, że na moim miejscu, to on by nie poszedł. A ja jeszcze w czasie pobytu w szpitalu zacząłem się uczyć uzbeckiego; znalazłem jakąś książkę (uzbecki był wtedy pisany alfabetem łacińskim, dopiero potem zaczęli pisać cyrylicą) i uczyłem się. W kolchozie już zaczynałem mówić w tym języku, co oni sobie bardzo cenili i pewno dlatego ten człowiek dał mi taką delikatną radę. Spytałem go, dlaczego mam nie iść. Powiedział, że tam jest taka twarda, ciężka praca. Nic więcej mi nie powiedział. Ale ja byłem tak wygłodniały, że mimo pewnego niepokoju postanowiłem pójść do tej kopalni.

Kopalnia znajdowała się 15 km od Jajczanu, na terenie nieogrodzonym, za nim rozpościerały się dzikie góry - Tiań-Szań. Wąska, asfaltowa szosa dochodziła tylko do kopalni i kończyła się. Z obu stron drogi ciągnęły się olbrzymie, skaliste góry bez roślinności. Na skałach siedziały stada olbrzymich sępów. Podobno porywały nawet żywych ludzi niewielkiego wzrostu. Jak tam dochodziłem to już mnie ciarki zaczęły przechodzić po skórze, bo wyglądało to makabrycznie: kończąca się szosa, dzikie góry, pustkowie i te sępy. Wyglądało to jak sceneria jakiejś strasznej bajki, jakbym wchodził w jakąś czeluść. Emanowało stamtąd jakieś zło.

Przyjęli mnie, dali siennik w wielkiej sali, gdzie spało kilkadziesiąt osób, dali jeść. Dali mi chleb, zupę, mięso. Znajdowało się tam kilka baraków, budynek administracyjny, w budowie były następne baraki. Wtedy było tam ok. 180 ludzi, niektórzy spali jeszcze na gołej ziemi zanim zrobiono podłogę.

W nocy, w sali, w której spałem paliły się bardzo ostre światła; z początku nie orientowałem się, o co tu chodzi: drutów nie było, wokół kopalni, obozu i na szosie stała straż ... Wszystko to było jakieś niesamowite...

Ale ja byłem w specjalnym stanie psychicznym; z jednej strony rozpacz, że mi się wszystko zawaliło, z wojska mnie wyrzucili, a właściwie gorzej, więc nic nie miałem do stracenia.

Następnego dnia rano wezwali mnie do „uprawlenija”, powiedzieli, że mnie przyjmują do pracy, tylko mam pamiętać, że ten obiekt jest pod zarządem wojskowym (wojska NKWD - Rosjanie) więc nie wolno mi się stamtąd oddalać. Wtedy już wiedziałem, gdzie jestem. Sam wlałem do tej pułapki; nikt mnie tam nie zawiózł.

Potem przywozili tam ludzi z głębi Rosji - trockistów itp. - z innych łagrów. Ale na początku, kiedy budowano jeszcze baraki, to ludzie okoliczni sami się zgłaszali - jako ochotnicy - „dla chleba”.

Była tam kopalnia siarczanu miedzi, odkrywkowa. na platformie stało 9 kotłów, wokół których budowano halę fabryczną. Pod kotłami, w których wypalano siarczan miedzi, palono ogień (ropą). Dopóki nie zbudowano hali, w okresie kiedy ja tam byłem, odbywało się to na powietrzu. Kiedy wiatr powiał w kierunku ludzi, to wyziewy (pary różnych związków chemicznych) z kotłów zżerały płuca. Tam się żyło maksimum dwa lata.

Ja pracowałem 12 godzin dziennie wyrabując kilofem skałę z rudą. Norm nie było, tylko nadzorcy pilnowali, żeby pracować. Po 6 tygodniach trafiłem do szpitala, bo już przedtem byłem wycieńczony. Był to malutki szpitalik, ale o dziwo z aparatem rentgenowskim. Tam się dowiedziałem, że jak ktoś miał

zaawansową chorobę i nie mógł już pracować w ogóle, to go odsyłano do innego łagru. Tam potrzebowali naprawdę ludzi do pracy. W szpitalu pracowały dwie wspaniałe lekarki - Rosjanka i rosyjska Żydówka. Prześwietlono mnie, miałem dwie kawerny (jak pomarańcze) w płucach. Zatrzymano mnie w szpitalu; po tygodniu gorączka przeszła, ale jeszcze tydzień te lekarki mnie zostawiły (ryzykując). I właśnie jedna z tych lekarek powiedziała mi, że „pan tu nie będzie dłużej żył, jak dwa lata, a może nawet mniej. To, co się tu dzieje - jest straszne. Bez masek nie powinni tu ludzie pracować.” Ja o tej rozmowie nikomu nie powiedziałem - nie miałem prawa narażać tej lekarki. Ale już wiedziałem, że jak tam zostanę, to zginę. Co kilka dni ktoś „znikał”. Ludzie po pewnym czasie zdawali sobie sprawę, jak trujące jest to powietrze, które się unosiło nad kopalnią, ale nie widzieli możliwości ucieczki; wokół obozu i na szosie stała straż, w górach byli partyzanci uzbecky, a Rosjanie bardzo się ich bali.

II B

Żadne wiadomości ze świata do nas nie dochodziły; nie wiedzieliśmy nic o przebiegu wojny. Tylko od tych trockistów dowiedziałem się, że Rosja zwycięża, ale oni byli przekonani, że ostatecznie przegra z Hitlerem.

W obozie tym byłem dokładnie cztery miesiące: październik, listopad, grudzień, styczeń - 1942r. Był to obiekt pilnie strzeżony; z zewnątrz nie było widać co się dzieje wewnątrz - ani kopalni ani obozu. Ze szpitala wyszedłem pod koniec listopada i wtedy już byłem zdecydowany uciec. Pierwszy raz

uciekłem w połowie grudnia 1941 r. Poszedłem - jak mi się wydawało nie dostrzeżony - szosą na Jajczan. Nie myślałem o dojściu do polskiego wojska, bo wiedziałem co mnie tam czeka. Chciałem tylko uciec. Przed Jajczanem złapali mnie. Powiedzieli, że cała drogę mnie obserwowali, choć było to w nocy. Zapakowali mnie do mamra w Jajczanie. Cella 10-metrowa, stało się na gołej ziemi, nie było żadnego sprzętu. Dawali 200 g chleba i kipyatok. Siedziałem tam dwa czy trzy tygodnie; a była już zima. Jakoś to przeżyłem... Wielu ludzi w tym więzieniu umierało - z wycieńczenia, głodu i zimna. Samo więzienie było niewielkie. Ja na szczęście miałem jeszcze przy sobie legitymację komsomolską, więc wypuścili mnie z więzienia i zawieźli z powrotem do tego samego łagru. Tam nie było żadnych konsekwencji, tylko z powrotem - do roboty.

W tym czasie przywieźli z Syberii grupę więźniów - trockistów, którzy planowali ucieczkę i mnie namawiali. A ja się bardzo bałem tych rozmów, bo wiedziałem, jakie w Rosji jest donosicielstwo. Wiedziałem, że nie mogę nikomu ufać. Nawet własnemu kuzynowi nie ufałem, nikomu... Oni łamali ludzi, każdego mogli złamać i nie można było mieć do tych ludzi pretensji. A ja sam postanowiłem uciec nie mówiąc nic nikomu. Przepracowałem ze trzy tygodnie w końcu grudnia i w styczniu i byłem skupiony tylko na tym, żeby przeżyć: nie rozchorować się, nie osłabnąć. A to nie było łatwe. Chorych wysyłali do innych łagrów - i wtedy koniec z nadzieją ucieczki. Nie miałem pojęcia dokąd tych chorych wywożą; widziałem tylko, że znikają. Ci trockiści mówili, że dochodzący po prostu likwidują, ale ja jakoś nie mogłem w to uwierzyć, bo to nie był ten typ ludzi [mowa o NKWD-zistach] - to się czuło.

Postanowiłem, że ucieknę przez góry, bo wiedziałem, że za mną w góry nie pójda. Strażnicy psów nie mieli, mieli zaufanie do gór. Góry były skaliste, strome, poprzecinane naturalnymi wąwozami - tunelami. Wody nie było. A ja nie widziałem powodu, żeby ginąć w tym łagrze, ale nie bałem się śmierci w

czasie ucieczki. Wiedziałem, że jak mnie drugi raz NKWD złapie w czasie ucieczki, to mnie rozstrzelają - powiedzieli mi to. Zaproponowałem memu kuzynowi, żeby poszedł ze mną, ale on się nie zgodził. Tłumaczyłem mu, że on tu zginie, ale nie mogłem powiedzieć, skąd mam tę wiadomość, nie chcąc zdradzić lekarki ze szpitala. On mi nie uwierzył. Prawdopodobnie zginął tam, bo później nikt nie znalazł o nim wiadomości.

Na początku lutego wyfasowałem nową fufajkę, nowe buty, nazbierałem sobie trochę chleba. Miałem zapas jedzenia i wody na trzy dni, bo liczyłem, że po tym czasie gdzieś dotrę, znajdę jakichś urków i z nimi dalej będę wędrował. Liczyłem się ze spotkaniem partyzantów. Wiedziałem, że z daleka mogą mnie postrzelić, ale jak ich spotkam blisko, to mnie nie zastrzelą - bo i twarz nie ta i język nie ten. A ja po uzbecku potrafiłbym powiedzieć skąd jestem. Nie miałem więc nic do stracenia. I w nocy poszedłem w góry. Po pół godziny byłem już wśród skał. I tak się wtedy dobrze poczułem! Wiedziałem, że muszę przeżyć. Wiedziałem gdzie jest Kokanda, kierowałem się słońcem i szedłem w tym kierunku nie schodząc przez parę dni w dół. Nocowałem w tunelach, bo trochę się bałem sępów, choć w nocy nie latają, ale na odkrytej przestrzeni było nieswojo i zimno. O ognisku nie było mowy, bo, pomijając, że nie miałem czym palić, to bałem się, że ogień mogą zauważyć. Na szczęście dni nie były pochmurne, słońce świeciło i szedłem tak, by zejść w dół za Jajczanem. Kierowałem się instynktem samozachowawczym. Ale gdybym nie miał w sobie tej rozpacz, to nie wiem, czy bym się na to zdecydował, bo jednak był to trochę desperacki krok.

Zszedłem z gór wprost na jakąś szosę i zobaczyłem idących ludzi. Od razu poznałem po twarzach, że są to Polacy. Spytałem od razu po polsku „dokąd idziecie?” A oni szli z łagrów - do armii Andersa. I to był najgorszy moment w moim dotychczasowym życiu. Rozważałem: jeśli gdzieś dotrę do urków i wtopię się w ich grupę, to zawsze NKWD może mnie znaleźć, bo mimo wojny

oni dokumentację mieli i szukali uciekinierów, a wtedy mnie zasatrzela. Jednak jakieś 50% szans na uratowanie życia było. Ale co dalej? Zostać w Rosji? Ja tego ustroju nienawidzę, zwłaszcza, że ja i mój ojciec służyliśmy temu systemowi.... Natomiast wiedziałem, że jeśli wstąpię do armii Andersa, to jak znowu rozpoznają kim ja jestem, to mnie też rozstrzelają. Pomyślałem, że mam jednak więcej szans idąc do armii. Przede wszystkim będę wśród swoich - to zawsze przyjemniej. Po drugie: może mi się uda znaleźć kogoś, kto mnie zna ze Lwowa i poświadczy za mnie. Wszystkie swoje sowieckie dokumenty (paszport, legitymację komsomolską) zakopałem w ziemi. Nie podam im fałszywego nazwiska, bo to będzie podejrzane. Podałem tylko drugie imię, jakie miałem w dowodzie - Henryk. W książce o Monte Cassino figuruję jako podchorąży Henryk Rudniański.

Schodząc z tych gór dołączyłem więc do grupy idącej do armii. Doszliśmy wieczorem. Wsadzili nas do ciemnego olbrzymiego baraku, w którym było chyba ok. 200 ludzi. Następnego dnia w baraku, który prawdopodobnie był miejscowym domem kultury, na proscenium stał stolik, przy którym siedział porucznik i kapral i spisywali przybyłych. Nazwy tej miejscowości nie pamiętam.

Powiedzieli nam, że każdy kto podejrze do tego stolika ma powiedzieć „Ojcze nasz”, „Zdrowaś Maria” i „Wierzę w Boga”. Zaniepokoiłem się, bo „Zdrowaś Maria” nie umiałem jako ewangelik. Wielu ludzi tam wchodziło, jękali się, bo żadnej tej modlitwy nie umieli. To byli Żydzi. I im kazali odejść. To był żałosny widok, jak ci ludzie próbowali się ratować i coś tam wyjąkać. Miałem nadzieję, że może gdzie indziej ich przyjmą. Np. w Tatiszczewie takiego ‘sprawdzianu’ nie było. Jabyłem spokojny: powiedziałem, że jestem ewangelikiem, wyrecytowałem „Ojcze nasz” - i to wystarczyło.

Z pierwszego okresu w wojsku pamiętam jedno przekleństwo, które pięknie zabrzmiało w moich uszach: kiedy jako przyjęci staliśmy w dwuszeregu

wyszedł przed dwuszereg taki kapitan i powiedział:”Kurwa mać zasrana!
Pamiętajcie - od dzisiaj jesteście w wojsku polskim!”

Mam tylko nadzieję, że ci ludzie, którzy wtedy odeszli zostali gdzieś jednak przyjęci. Znam bowiem nasz naród i wiem, że nie ma w nas nienawisci. To była chyba tylko obsesja przed szpiegami. Znam jednego polskiego komunistę, którego przyjęto do armii. A przecież NKWD nasyłało tam wielu swoich agentów. Jeden z moich znajomych (Tadzio), który był w łagrze został do armii polskiej wprowadzony przez NKWD - kazali mu donosić. jemu się udało powiedzieć o tym fakcie - nie swojemu dowódcy, który miał być łącznikiem między NKWD a nim - tylko innemu oficerowi. Opisuje to w swoich wspomnieniach. Oni mieli świetną penetrację naszego wojska.

A ta moja rozterka, kiedy zszedłem z gór była najtrudniejszym momentem, ale decyzja zaufania Polakom okazała się słuszna - nie zawiodłem się i przeżyłem.